

Aleksander Nawarecki

[0. Próba ograniczenia stuletnich badań... : odpowiedź na ankietę]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 93/1, 67-73

2002

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ALEKSANDER NAWARECKI

0. Próba ogarnięcia stuletnich badań nad literaturą polską trafnie została ukierunkowana pytaniem o zachodzące zmiany. Postulat myślenia w kategoriach zmienności pozwala mi na porównanie dwóch punktów widzenia: niezapomnianej chwili inicjacji w świat polonistyczny i dokonywanego teraz podsumowania. Odważyłem się zatem na spojrzenie historyczne i osobiste zarazem. Jak uczestnik każdej ankiety zaczynam od danych osobowych. Należę do „średniego” pokolenia badaczy, urodzonych w połowie ubiegłego stulecia, których studia, pierwsze publikacje, wreszcie doktorat przypadły na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Generacja ta szczęśliwie uniknęła najczarniejszego okresu i fortunnie trafiła „w samo południe” XX-wiecznego literaturoznawstwa, zbierając owoce założycielskich projektów z początku wieku, doświadczając rozkwitu i tryumfu nowoczesnego modelu humanistyki, ale też dostrzegając symptomy wyczerpania. Dziś, już za progiem następnej epoki, jako badacze „w sile wieku” możemy obrachować na własnej skórze, co stało się z optymistycznie układanymi planami. Co pozostało aktualne w fazie ponowoczesnego przełomu? Inaczej też myślimy o przyszłości; łatwiej teraz o profecję całkiem odmiennego, nowego świata niż o twardy projekt czy budujące marzenie składane na barki następców.

1. Ćwierć wieku temu historycy literatury żywo zajmowali się periodyzacją, spirali się o granice okresów, konfrontowali je ze zmienną mapą prądów i formacji. Konstrukcja tablic chronologicznych zdawała się kluczem poznania, a nowe kryteria podziału podsuwała poetyka historyczna, socjologia literatury i historia sztuki. Głośne były debaty o „manieryzmie” czy cezurze „współczesności”. Dziś przygasły tamte konflikty, a rewizja „modernizmu” była bodaj jedyną tego rodzaju dyskusją. Zamiast szczegółowych podziałów preferowane są kategorie „długiego trwania”, eksponujące ciągłość procesów. I chyba najtrwalsze okazało się elementarne, nieomal mityczne rozróżnienie trzech epok: „dawnej”, „niedawnej”, „najnowszej”. W porządku kalendarzowym odpowiada im czas sprzed wieku XIX, wiek XIX i XX stulecie. Każda z tych całości czasowych jawi się jako odrębny świat i system wartości, przyciąga też właściwe sobie grono badaczy. Każda z nich miała i ma nadal swoją dominantę, już to historyczną, już to estetyczną.

Prezentację tego trójpodziału wypada zacząć od historycznego i aksjologicznego centrum, jakie od dawna wyznaczał romantyzm. Romantyzm pochłaniający oświecenie jako punkt wyjścia, a pozytywizm i Młodą Polskę jako swój „wygłos” i dopełnienie. Rangę nadawały mu arcydzieła i figury wieszczów, aktualność problematyki narodowej i nadal niewygasłe spory, a wreszcie autorytet badaczy mobilizująco rozdzielonych na dwa kręgi: warszawskich historyków idei i lubelskich

formalistów. Prowadzone tam prace skupiały uwagę i budziły respekt, ale ten sam ton przeniesiony z kręgów akademickich do polonistyki szkolnej stawał się już niepokojąco martwy. Albowiem fundamentalny „paradygmat romantyczny” miał się ku końcowi. Lata osiemdziesiąte przyniosły jego agonálną eksplozję, po czym – wraz z wolnością – nastąpiło szybkie wygasanie, proces znany z diagnoz Marii Janion. Dziś studia nad romantyzmem, animowane rytmem rocznic i zasilane kapitałem tradycji, biegną jakby siłą rozpędu. Jeżeli hasło „my wszyscy z Niego” odnosi się nadal do Mickiewicza, to jest ono coraz mniej aktualne wobec całego romantyzmu. Więc przyszłość badań, jak sugeruje Dorota Siwicka, zależy raczej od twórczego doświadczenia „obcości” świata romantycznego.

Jeżeli lata siedemdziesiąte przyniosły pewne znużenie „noblwym” romantyzmem, to żywe emocje kierowały się wówczas ku literaturze najnowszej. Byliśmy bowiem świadkami narodzin nowej specjalności, zajmującej się literacką „współczesnością”. Jej kariera była ciekawa jako transfer gorącego „przedmiotu badań” z rąk skłóconych krytyków w zacisze uniwersyteckich gabinetów. Ale przecież proces ten nigdy nie był tak schematyczny. Akademickie czytanie Witkacego, Gombrowicza, Schulza, Miłosza, Herberta, Różewicza, Szymborskiej i jeszcze młodszych, a wciąż aktywnych pisarzy było niewyobrażalną dziś przygodą, wejściem w pole licznych kontrowersji (estetycznych, obyczajowych, politycznych, religijnych) i w nieuchronny konflikt z cenzurą. Dla nowoczesnego badacza właśnie literatura nowoczesna stanowiła najmocniejsze wyzwanie, wszak odkrywcość metod domagała się odkrywczych utworów. Ale to spotkanie rewolucyjnej energii ujawniało kłopotliwy paradoks. Oto bowiem dzieła *nomen omen* awangardowe, więc wychylone ku przyszłości i nadal traktowane jak artystyczne i poznawcze prorocstwo, nieuchronnie zyskiwały status obiektów muzealnych. Finał tego zjawiska rozgrywa się na naszych oczach, gdy znika gorąca „literatura współczesna” ustępując miejsca „historii literatury XX wieku”. Dyscyplinie coraz bardziej ustabilizowanej, poważnej i zasłużonej. Jej przedmiot badań doczekał się zamknięcia i staje się coraz bardziej „ucukrowany”. Odrobina nowości czy aktualności nie działa już podniecająco i nie mobilizuje metodologicznej inwencji. Uderzający jest fakt, że badacze „postmodernizmu”, zarówno krytycy, jak apologety (np. Bolecki i Uniłowski), zajmują się nim z „modernistycznej” perspektywy. Najmłodszi poloniści podchodzą zaś do tekstów opublikowanych w bieżącym roku z podobnym dystansem jak do Kochanowskiego. To znamienna i narastająca tendencja.

Trzecią, ale nie mniej ważną epoką do niedawna wydawał się barok. Wydobywam i eksponuję go z całej literatury staropolskiej ze względu na wyjątkowy status. Pamiętam bowiem z okresu studiów, że jeśli termin „staropolszczyzna” brzmiał odstręcająco, to słowo „barok” miało zniewalający urok. Barok tyleż prawdziwy, co wyidealizowany, podobnie jak niegdyś średniowiecze wymarzone przez romantyków. Narastająca moda na barok, przybierająca czasem znamiona snobizmu, miała jednak głębsze uzasadnienie. Niewątpliwie byliśmy świadkami historycznej i gruntownej zmiany smaku, która nieco wcześniej dokonała się w odbiorze muzyki i sztuk plastycznych. Przypomnę, że po odkryciu „starego” Bacha nastał Vivaldi, a wkrótce miała zabłysnąć gwiazda Monteverdiego. W malarstwie zaś czczony dotąd renesans robił miejsce dla Vermeera, Rembrandta, El Greca. A u nas miała wybuchnąć analogiczna miłość do Sępa, Naborowskiego i Morsztynów, w literackim czyścicu czekał już Baka. Emocje te żywiołowo udzielały się poloni-

stycznej młodzieży; słuchacze muzyki rockowej z upodobaniem odkrywali barokową zmysłowość, estetyczny ekscentryzm, erotyzm bliski metafizyce – wartości, których brakowało w PRL-owskiej „krajnie wyobraźni”. Starsza generacja doceniała natomiast smak dawnej kultury polskiej, jej wielkość i pokraczność, fascynującą fazę kształtowania się narodowego charakteru. Ale nieoceniony był wkład plejady poetów – Miłosza, Grochowiaka, Rymkiewicza, Harasymowicza, Brylla czy Barańczaka, którzy pisali też rozprawy krytyczne. Rozpowszechniało się przekonanie, że wiek XVII kryje w sobie skarby, których odkopać nie potrafią „staropolanie”. Ale w ich gronie także panowało wielkie ożywienie. Zdali sobie oni nadto sprawę, że „staropolskie” kompetencje przydają się też w rozumieniu innych epok. Wzorcową jest pod tym względem praca Claude’a Backvisa prezentująca barokowy kształt wyobraźni Słowackiego. Z odsieczą przyszli także znawcy „młodszych” epok, a skromniejsze wycieczki robili językoznawcy i teoretycy literatury. Symboliczny wręcz wymiar miała książka Jana Błońskiego *Mikołaj Sep Szarzyński a początki polskiego baroku*. Bodaj ważniejszy od jej walorów poznawczych był fakt, że wybitny znawca i krytyk literatury najnowszej, przy użyciu nowoczesnej metody (krytyki tematycznej), w sposób uderzająco osobisty, „tu i teraz”, czytał dawnego poetę. Marzyłem wówczas o powtórzeniu takiego gestu, aczkolwiek częściej zaglądałem do niewyczerpanego kompendium wiedzy, jakim był *Barok* Czesława Hernasa, a moją najważniejszą, niemal codzienną lekturą była antologia *Poeci polskiego baroku* (ulożona przez Jadwigę Sokołowską i Kazimierę Żukowską) – podstawowe źródło tekstów „w stanie czystym”.

Głód oryginalnych dzieł barokowych długo pozostawał nienasycony, dlatego z najwyższym uznaniem i wdzięcznością myślę o współczesnej „Bibliotece Pisarzy Staropolskich”. Przedsięwzięcie, któremu przewodzi Adam Karpiński, może zawstydzać badaczy nowszej literatury, gdzie niedobór wydań krytycznych jest dobrze znaną a dojmującą realnością. Szkoda, że wydania arcydzieł baroku pojawiły się już po przygaśnięciu zainteresowań tą epoką, po fali, która nie osiągnęła oczekiwanej dynamiki. Teraz nie powtarzają się już wyprawy „nowoczesnych” ku przeszłości (znanym mi wyjątkiem jest Kwiryna Ziemia). Barok pozostał domeną „staropolan”, przynosząc jednak temu środowisku generacyjne i metodologiczne odmłodzenie. I nie ma już powodów, żeby eksponować barok kosztem średniowiecza i renesansu. Warto natomiast zastąpić „staropolszczyznę” kategorią „literatury dawnej” na wzór znawców i wykonawców „muzyki dawnej”. Gdyż rekonstrukcja teorii i techniki gry na dawnych instrumentach jest dziś nieocenionym przykładem nowej hermeneutyki. Tu dostrzegam też wielostronne źródło inspiracji dla całego literaturoznawstwa.

Refleksja nad studiami barokowymi najlepiej pokazuje sens, ale też poznawczą rozkosz wypełniania „białych plam”. Zapewne sporo jest ich jeszcze w wieku XVII, „czasy saskie” zaś rysują się wręcz jako *terra incognita*. Mam jednak wrażenie, że całe nasze środowisko zatraciło ten rodzaj pasji i wytrwałości poszukiwawczej, jaką niegdyś objawił niedościgły arcy mistrz – Aleksander Brückner.

Inni mistrzowie? Tym mianem mogę, a nawet muszę określić dwie osoby: Marię Janion i Ireneusza Opackiego. To wybitni znawcy romantyzmu, ale w tym wypadku nie idzie mi o ich dokonania, lecz o bezpośredni kontakt, bo tylko tą drogą można spotkać Mistrza. Poznałem ich na seminariach i wykładach, co okazało się nieporównanie ważniejsze niż lektura książek czy prywatna zażyłość. Oboje prze-

kazywali wiedzę daleko przekraczającą paradygmat historii literatury. Opacki udowodnił, czy raczej zademonstrował, że całą wiedzę można zmieścić, a nawet należy ją weryfikować w rzeczywistości pojedynczego tekstu. Tak pojęte obcowanie z estetycznym wymiarem literatury ośmielał się porównać z pracami w laboratoriach nuklearnych. Interpretacja wiersza w wykonaniu strukturalnym stawiała się aktem magicznym, odsłaniającym absolutne piękno. Uważam to za szczyt poznania i największą szansę na „cechowe wtajemniczenie”. Nauki Marii Janion też miały – choć inaczej – walor radykalnego przekroczenia, dowodząc, że nawet rygorystycznie analizowany utwór jest badaczowi tak bliski jak jego ciało, a praktyka badawcza ma powagę i ryzyko sytuacji granicznych.

2. Teoria literatury – właśnie tu dopatrywałbym się najdonioślejszych przemian w ciągu całego stulecia. Zaskakiwać może fenomen jej gwałtownego rozwoju, ekspansji, a nawet swoistego terroru (cała polonistyka drżała niegdyś przed zarzutem „metodologicznej niespójności”, którym szafowali teoretycy). Proces ten zaczął się w latach sześćdziesiątych i nie trwał dłużej niż dwie dekady, ale całkowicie zmienił obraz badań literackich, obejmując bodaj wszystkie ich sfery i przejawy. Poetyka przeistoczyła się wówczas ze skromnej dyscypliny pomocniczej (ograniczonej często do wersologicznych pomiarów) we wszechmocną technikę odkrywania zasad budowy każdego tekstu. Nadbudowana nad nią teoria urosła do rangi uniwersalnej „filozofii” literackiego kosmosu. Co więcej, stając się „nauką królewską”, kreowała własny przedmiot badań, autonomiczny wobec dzieł literackich. Opisany tu przewrót był jakimś nawiązaniem, dopełnieniem i pogłębieniem „przełomu antypozytywistycznego”. Badania literackie specyfikowały swoje pole poznania, zyskiwały świadomość własnej odrębności i metodologiczną samowiedzę, jednym słowem – dojrzałość. Dyscyplina ta próbowała teraz sprostać wymogom nowoczesnej nauki, wypracowanym na gruncie nauk ścisłych. Sojusz zawarty z językoznawstwem, próba wykorzystania logiki, a nawet matematyki i powstającej teorii informacji obiecywały nie znaną dotąd precyzję, wymierność i weryfikowalność prowadzonych studiów. Było to przedsięwzięcie heroiczne, choć dziś widać, że utopijne (czas przyznał rację Heideggerowi, który cnotę ścisłości zalecał wyłącznie naukom ścisłym). Ale teoria literatury natchniona „duchem naukowości” miała wielką moc i wyjątkowo korzystną koniunkturę. Wszak na polskim gruncie promieniowało wówczas dzieło Romana Ingardena, którego projekt fenomenologii literatury nadal pozostaje pomnikowym wkładem w światową humanistykę. Sprzyjała nam także znajomość (i rodzima recepcja) rosyjskiego formalizmu (również Proppa i Bachtina), praskiej szkoły strukturalnej oraz semiotycznych „nowinek” dobiegających z niedalekiego Tartu. Dawało nam to przewagę nad myślą Zachodu, gdzie ten kompleks wiedzy docierał powoli za pośrednictwem Welleka, Todorova, Kristevej. Więc dane nam było budujące i uzasadnione poczucie „światowego poziomu”.

Kiedy od deski do deski czytałem „Teksty”, miałem wówczas wrażenie, że publikacje Balcerzana, Lalewicza, Handkego, Łapińskiego, Grajewskiego (który zachwyił mnie później instruktażem *Jak czytać utwory fabularne?*) i wielu innych autorów są nie mniej ciekawe i ważne od zamieszczanych tam przekładów. Nie było to chyba iluzją, tym bardziej że ówczesny „strukturalizm” wypracował uniwersalny kanon myślenia i pisania, którego można się było nauczyć. W ogóle wiele można się było tu nauczyć i sam wiele się nauczyłem. Wszak ówczesna

szkoła średnia i akademickie propedeutyki nie dawały podstaw filozofii i dopiero kurs teorii literatury pomógł mi odróżnić ontologię od gnoseologii, a dedukcję od indukcji. I dopiero tu ćwiczyłem się w terminologicznej precyzji i sztuce definiowania pojęć, zyskując także wyobrażenie o podmiotowości, czasie, przestrzeni, a ponad wszystko – o fundamentalnej roli języka (wzorem Jakobsona czułem się lingwistą).

Ale fascynacja teorią literatury sięgała szczytu, gdy jej „scjentyzm” zestawiony z marksizmem ujawniał nędzę „naukowego światopoglądu” i jemu podobnych fetyszy naukowości. Duch „obiektywizmu” jakby onieśmielił konkurencyjny nurt „partyjny” i teoria literatury szczęśliwie uniknęła babilońskiej niewoli marksizmu. Tak mocną pozycję wypracowali adepti strukturalizmu, bazujący na formalistycznej tradycji, otwarci na semiotykę i socjologię literatury. Temu gronu uczonych w krótkim czasie udało się stworzyć intelektualne „imperium”. Funkcję elementarza pełnił *Zarys teorii literatury*, a nowo opracowany *Słownik terminów literackich* rzeczywiście stał się obowiązującym leksykonem. Warsztatowy kanon dyktowało *Archiwum przekładów „Pamiętnika Literackiego”*, areną dyskusji stały się zaś „Teksty”. We wszystkich wspomnianych tu publikacjach, w rozmaitych rolach, powtarzały się nazwiska Janusza Sławińskiego i Michała Głowińskiego. Nic zatem dziwnego, że *Dzieło, język, tradycję i Porządek, chaos, znaczenie* przyszło mi czytać i komentować niezliczoną ilość razy, najpierw jako studentowi, a potem asystentowi (dziś kontynuują to moi doktoranci). Mam wrażenie, że to uznanie przybrało na Uniwersytecie Śląskim postać kultu, który poświadcza Stefan Szymutko szkicem *Ciało profesora Sławińskiego*. Z podobnym pietyzmem myślę o formalistycznej „lekcji” Czesława Zgorzelskiego (któremu nieraz publicznie próbowałem spłacić ten dług). Trudno przecenić te autorytety, aczkolwiek siła ich oddziaływania miała też skutki uboczne – monopolizowała naukową „scenę”. W cieniu strukturalizmu znalazły się bowiem badania związane z psychoanalizą, krytyką tematyczną, hermeneutyką czy feminizmem (dodajmy – duchowo obce także obowiązującej ideologii). Nieomal zupełnie zaś zniknęło z oczu to, co pod mianem „poststrukturalizmu” rozwijało się na Zachodzie równocześnie ze strukturalną bazą (dekonstrukcja popadła w najdotkliwszą niełaszkę). Tego zaniechania można żałować z wielu powodów, także dlatego, że metodyczna podejrzliwość dekonstrukcji i hermeneutyki najskuteczniej obok socjolingwistyki (uprawianej przez Głowińskiego) przeciwstawiała się ideologicznym truciznom.

Opisany tu tryumf teoretycznoliterackiej nowoczesności należy już do przeszłości, a abstrakcyjna „teoria” staje się nauką coraz bardziej martwą, w takim sensie, w jakim martwym językiem jest np. łacina. Trudno jednak przecenić korzyści związane z ekspansją metody formalnej i analizy strukturalnej. Odtąd w powszechnym krwiobiegu znalazła się zasada uważnego badania języka tekstu, jego budowy, strukturalnych relacji, ukrytych znaczeń, funkcjonalnej wielowymiarowości, siły perswazyjnej, społecznego usytuowania itp. Dokonał się zatem swoisty powrót do retorycznych korzeni naszej specjalności (co w latach sześćdziesiątych ogłosił Barthes), a znamieny jest fakt, że ta część poststrukturalizmu, której patronuje Paul de Man, nazywa się „nową retoryką”. Rehabilitacja podstawowego pytania: jak mówić (pisać, czytać)? – prowadzi do zaskakującego odrodzenia dawnej poetyki i retoryki użytkowej pod mianem „*creative writing*”. Więc ciągle potwierdza się przydatność metodologicznego przełomu sprzed paru de-

kad. Może tamtą „karierę teorii” należałoby określić mianem rewolucji, która choć przeminęła, to całkowicie zmieniła obraz świata.

3. Historia literatury żyje – podobnie jak organizm – wtedy, gdy dzieli się i rozmnaża. Jej rozwój wyznaczało dotąd powstanie nowych specjalności i odmian, nie inaczej też rysuje się przyszłość. Byliśmy świadkami narodzin szeregu historii specjalnych: historii form artystycznych, instytucji literackich, pokoleń, arcydzieł, idei, mentalności itp. Ile takich możliwości jest jeszcze przed nami? Ile potencjalnych mikrospecjalności! Jak wiele szans na wzajemne inspiracje, spotkania, fuzje i ekscentryczne połączenia tak z pokrewnymi, jak z najbardziej odległymi dziedzinami! A czy ambicją historyka literatury nie powinna być budowa własnej niszy czy mikroświata? Sądzę, że indywidualne projekty w rodzaju „historii życia” Jarosława Marka Rymkiewicza albo „nekrografii” Stanisława Rośka są zapowiedziami tej tendencji. I zapewne przetrwają też lokalne tradycje, na wzór krakowskich badań dziedzictwa młodopolskiego.

Znakiem rozwoju, jak widać, jest dla mnie swoiste rozproszenie, a nie scalenie, więc trudno mi orzekać o przyszłości syntezy. Jest jednak oczywiste, że rozmnożenie punktów widzenia domaga się ich równoczesnego przeglądu, subtelniejszego niż katalogowanie. Jakaś hierarchię i reguły selekcji wymuszają nowe technologie komunikacji i gromadzenia wiedzy, ale to może być dość mechaniczne uporządkowanie. Los bardziej wyrafinowanej syntezy zależy od ludzi podobnych do Jana Tomkowskiego, którzy są wirtuozami tego gatunku i jutro też będą potrafili dokonać tej sztuki.

A w jakim kierunku pójdzie całe literaturoznawstwo? Wolno przypuszczać, że nie w jednym, lecz w dwóch, i to sprzecznych kierunkach równocześnie. Tak przecież dzieje się teraz, kiedy „globalizacja” i „lokalizacja” rosną w zgodnym tempie i rytmie (to paradoks „chaosmosu”, dawno temu opisany przez Deleuze’a i Guattariego, zresztą na marginesach literatury). Więc, z jednej strony, czeka nas erupcja wąskich specjalizacji i nowych form „otwartego” literaturoznawstwa, a z drugiej – ich unifikacja. Wzajemne przenikanie i zlewianie się historii, teorii, krytyki, a nawet twórczości literackiej w całość zwaną pisarstwem. Łatwo mogę sobie wyobrazić, że w przyszłościowym supermarkecie, w skromnym dziale pod szyldem „Książka”, wszystkie pozycje ustawione będą w porządku alfabetycznym, gdyż dodatkowy podział na dziedziny wydałby się większości klientów zbyteczną pedanterią.

Spodziewam się zatem przemian o znamionach czy pozorach sprzeczności. Więc sposobu pisania bardziej osobistego, a zarazem mniej egotycznego i bardziej „pokornego” niż obecnie (wolnego od stanowej pychy użytkowników meta-języka). Bronię się natomiast przed złudną a niebezpieczną dychotomią zawartą w pytaniu: „zwrot ku źródłom – eseizacja?” Cóż to za „źródła” tryskają na antypodach eseistyki? Jeśli chcielibyśmy powrócić do Arystotelesa, którego *Retoryka* nie rozdzielała jeszcze poetyki od gramatyki, psychologii czy socjologii, to znajdziemy się blisko interdyscyplinarnego wielogłosu, który dziś niewątpliwie kojarzony jest z „eseizacją”. Jeśli zaś za „źródło” uznamy *List do Pizonów*, to postawimy na zatarcie różnicy między dyskursem poetyki a stylem artystycznym, co też nazywa się „eseizacją”. A jeśli szukać bliżej, już na progu nowoczesnej humanistyki, to niechybnie trafimy na przypadek Georga Simmla, który właśnie w eseju widział lekarstwo na niemoc języka uczonych. Tu znalazł bezpośredniość wyrazu

i ożywcze uwolnienie się od gorsetu akademickich rytuałów. Jego śladem poszli Adorno, Heidegger i dzisiejsi zwolennicy myśli „niesystematycznej”. Bo jeżeli esej – zgodnie z nazwą – rzeczywiście jest „próbą”, to dostarcza instrumentów wszelkim poszukiwaniom, hipotezom, przymiarkom, eksperymentom i poruszeniom inwencji. Zawsze potrzebny tam, gdzie szuka się prawdy i nowych rozwiązań, gdzie spotyka się z nieznanym. Sam zdaje się być wartością źródłową.

Ale przeszłość podsuwa też całkiem inną inspirację. Jest nią dawna filologia. Temu źródłu z pewnością nie grozi wyschnięcie. Dowodzą tego choćby dociekania Radosława Grześkowiaka, który historycznej refleksji poddaje zasady edytorские. Praktyka wydawnicza okazuje się wówczas światem niekonsekwencji, łamanych reguł, intuicji i prywatnych obsesji, a wielcy edytorzy czasem jawią się bardziej artystami niż uczonymi i rzemieślnikami.

Raz jeszcze zwracam uwagę na to połączenie sztuki, nauki i rzemiosła, znamienne również dla eseju i charakteru literaturoznawcy. Uprawa tej domeny stawia zatem wymóg wyrafinowanego pisarstwa. Czyż takimi twórcami nie byli: Szklowski, Tynianow i Bachtin, Benjamin i Auerbach, Bachelard i Poulet, Eco i Łotman? Wszak to ich pisarstwo, z właściwym tylko sobie bogactwem, znaczy teraz więcej niż zdobycze metodologii, którą tworzyli. Do tej galerii postaci – jako figurę symboliczną – dołączyłbym Rolanda Barthes’a, który rozpoczął jako historyk literatury, sławę zyskał jako teoretyk, a potem próbował zbliżyć swój dyskurs do literatury. U nas podobną drogę – choć inaczej – przeszedł Michał Głowiński. Taka zmiana uprawianych gatunków nie musi oznaczać zerwania, zmieszania ani wartościującego wyboru, ale wyraża jakąś potrzebę, być może, wytycza nawet kierunek.

Na koniec pragnę zwrócić uwagę na zasługi, jakie badaniom literackim oddali ludzie spoza naszego grona. Chciałbym podzielić się spostrzeżeniem, które przyniosła mi praca nad recepcją księdza Baki. Ze zdziwieniem wówczas zauważyłem, że w wieku XX autorami najciekawszych opinii byli Pawlikowska, Czechowicz, Wat, Kuśniewicz, Białoszewski i Miłosz. A więc pisarze, często w literackich i paraliterackich formach, wyprzedzali wnioski sformułowane mniej efektownie przez krytyków i uczonych. Okazuje się, że to, co pisarze piszą o pisarzach, co żyje własnym życiem i sytuuje się poza historią literatury, wywiera na nią znaczny wpływ, o którym jednak nie wiemy zbyt wiele.